

ARGUMENTY

Warszawa, ul. Siemkiewicza 3

Nr 26 z dn. 26-06-88

TEATR

W styczniu tego roku warszawski Teatr Polski obchodził 75-lecie swojej działalności. Przypomnijmy, że zainaugurował ją 29 stycznia 1913 r. „Irydionem” Zygmunta Krasińskiego, w reżyserii założyciela tej sceny i następnie długoletniego jej dyrektora — Arnolda Szyfmana. Może właśnie w związku z tym faktem reżyser Jerzy Rakowiecki, mocno z tą placówką związany, jakby nawiązując do jej prapoczątków napisał sztukę pt. „Lokaj” której głównymi bohaterami są obaj Krasińscy, syn — poeta i ojciec — generał wystawiona obecnie w Teatrze Kameralnym, filii Teatru Polskiego.

Jak o tym z okazji tegoż jubileuszu pisaliśmy, rocznicę swego 75-lecia uczcił Teatr konkursem na sztukę współczesną, rozdając laureatom nagrody właśnie w ten uroczysty wieczór po galowym przedstawieniu „Żywota Józefa” Mikołaja Reja. Tak więc klasyka narodowa w tym dniu zwyciężyła (reżyser jubileuszowego spektaklu i zarazem dyrektor teatru, Kazimierz Dejmek, jest mistrzem w ożywianiu staropolszczyzny), ale ten obecny kontynuator szyfmanowskiego dzieła nie mniej — ma zasługi w wytrwałym promowaniu naszej współczesnej dramaturgii. Jest w tej dziedzinie wręcz niezłomny i zawsze w zgodzie z temperaturą chwili bieżącej. Toteż zanim zaprezentował nam którąś z pozycji konkursowych — mamy przecież prawo spodziewać się ich realizacji — przedstawił obecnie dwie prapremiery sztuk jeszcze przedkonkursowych: na scenie dużej przy ulicy Karasia oglądać możemy „Drzewo” Wiesława Myślińskiego, natomiast na Foksal, w Teatrze Kameralnym — „Lokaja” Jerzego Rakowieckiego.

Zacznijmy od pozycji ciekawszej, czyli od nowszej sztuki Myślińskiego. Autor w zasadzie pozostał wierny tematyce wiejskiej, ale formę znalazł tym razem dla swych rozważań zgola niecodzienną. Przypomnijmy, że dla teatru napisał już „Złodzieja” (1973) i „Klucznika” (1978), ale największym powodzeniem cieszyły się sceniczne adaptacje jego głośniejszej powieści „Kamień na kamieniu” wydanej w roku 1984.

Jak gdyby nawiązując do „Śmierci na gruszy” Wandurskiego Myśliwski posadził swojego bohatera na wiekowym, rosnącym przed jego chałupą drzewie, przeznaczonym na ścięcie z racji wytępczanej tu właśnie drogi. Stary Marcin Duda spogląda z wybranej przez siebie wysokości na dobrze znany krajobraz, na najbliższą rodzinę i sąsiadów, rozpamiętując przeszłość i prowadząc długie rozmowy zarówno ze swymi współczesnymi jak i z tymi, który w taki czy inny sposób odcisnęli swój ślad na tej ziemi, ale dawno już z niej odeszli. Sztuka ma zatem charakter refleksyjny, a przy tym poetycki, wyrasta z klimatu wsi tak przecież wrażliwej na naturę, rozumiejącej co to przemijanie i stykającej się z permanentnym procesem obumierania i corocznego wiosennego odradzania się całej przyrody.

Reżyser przedstawienia, Kazimierz Dejmek, bardzo pięknie je poprowadził, wyważając precyzyjnie akcenty, przeciwstawiając płaską codzienność

głębszej refleksji nad życiem i harmonizując równocześnie ze sobą świat żywych i umarłych. Humor sąsiaduje tu z liryką, zaś satyryczne spojrzenie na współczesność z pełnym zadumy stonunkiem do przeszłości. Także aktorzy nad podziw dobrze się w te sole-symboli wcieliili, na czele z Ignacym Machowskim, owym medytującym na drzewie i wadzącym się z otoczeniem Marcinem Dudą. Uparty po chłopsku, przekonany o swojej bezwzględnej racji, protestujący poprzez odmowę zejścia z drzewa przeciwko gwałceniom praw natury i brutalnemu niszczeniu naszych wieków z przeszłością, Uparty, ale ciepły, wiele rozumiejący i na różnych płaszczyznach prowadzący te swoje rozmowy z żywymi — i cieniami.

Nowe polskie sztuki w Polskim i Kameralnym

Zofia Sieradzka

Tak więc spektakl bardzo piękny i szlachetny w tonacji (scenografia Janna Polewki, muzyka Zygmunta Karneckiego) jest oczywiście dla tych, którym stylizyka proponowana przez Myślińskiego i podjęta przez teatr odpowiadają. Przypowieść snuje się bowiem wolno, sam autor przyznaje we wstępie do programu, że tekst rozrósł mu się do 7 godzin sceniczych. Dejmek wybrał z tego 3 godziny z hakiem, wydaje mi się jednak, że gdyby zrezygnował z aktu trzeciego, rozbudowując niektórymi jego wątkami (motywy żony) akt drugi — sukces byłby pełny. Ale jak wiemy, Kazimierz Dejmek należy do tych reżyserów, którzy pracują nad spektaklem jeszcze długo po premierze (można go zobaczyć w czasie pierwszych przedstawień w lewej loży skrupulatnie notującego swoje uwagi), jeśli więc uzna, że jakieś zmiany są potrzebne — na pewno je wprowadzi. Niemniej już teraz przybył nam spektakl interesujący, ważki, inspirujący zadumanie się nad tym i owym. Nawet jeśli nie ze wszystkim z autorem się zgadzamy, bo i takie dyskusyjne elementy zarówno sztuka jak i spektakl zawiera.

O ile zatem urok scenicznych dywagacji Marcina Dudy może nie do każdego trafiać (w zależności od tego, czego widz w teatrze szuka), sztuka

Rakowieckiego wydaje się być — nie chciałabym krzywdzić autora — czymś na wzór szkolnej lektury z biografii naszych wielkich. Mówi bowiem o postaciach dobrze nam znanych, przypomina najważniejsze fakty z ich życia, ale nie sięga ani dalej, ani wyżej. A co gorsza nie tylko nie sięga z niej nowego o rodzie Krasińskich nie dowiemy, ale rzeczywiste tragedie i wynikające z nich problemy uległy na scenie niepotrzebnemu skarykaturowaniu, ośmieszeniu, gubiąc z pola widzenia to, co najważniejsze. A tym samym krzywdząc nie tylko prezentowanych bohaterów, ale i widza.

W sztuce jedną z ról głównych gra lokaj, niemniej tytułowym lokajem zdaje się być sam generał Wincenty Krasiński, w sytuacji, gdy ów rzeczywisty — noszący liberię, a nie mundur — lokaj w obronie poczucia własnej godności bez chwili wahania płaci życiem. Ten pomysł wyjściowy wydaje się interesujący i godny dramatycznego ujęcia, niemniej mimo wszystko temat inspirujący autora domaga się potraktowania bardziej serio. Spektakl „Lokaja” reżyseruje Andrzej Lapicki, grając w nim ojca Zygmunta Krasińskiego. Wiemy dobrze, jakim autorytetem dla syna — poety był ten człowiek, twardy i wymagający posłuszeństwa we wszystkich sprawach, wojskowy, otoczony nimbem chwały napoleońskiego żołnierza, bohatera narodowego. Słaby i wrażliwy syn podziwiał tego ojca, wierzył w niego i opowiadał się po jego stronie nawet wtedy, kiedy inni dostrzegali już małość czy nawet nikczemność wielkiego niedysy generała. Przecież w roku 1830 właściwie cudem uniknął Krasiński samosądu na ulicach Warszawy i w przebraniu uciekł z kraju pod opiekę cara. Ale Zygmunta w niego i w jego intencje wierzył, a przynajmniej chciał wierzyć — i to była niewątpliwie główna tragedia jego życia. Jeśli jednak na scenie widzimy raczej marionetkę niż generała i nie tłumaczy jego władzy nad synem, również nasz trzeci wieczór wypada — przepraszam czytelników — po prostu jak zwykły smarkacz i w dodatku głupek. Nawet jego poetyckie wizje mieszające świat otaczających go osób z bohaterami jego największych dramatów nie są już w stanie tego wrażenia zmienić.

A przecież problem poruszony w sztuce Rakowieckiego wydaje się zawsze aktualny i ponadczasowy. Potwierdza to nasza historia i dzień dzisiejszy. Myślę o serwilizmie, o granicach ślepej lojalności wobec władzających, o tym wszystkim, co odróżnia postawę obywatelską od nadmiernej uległości czy nawet wysługiwania się wrogim siłom skierowanym przeciwko dobru ojczyzny. Zarówno obaj Krasińscy, jak i chwila obecna duktują więc poważniejsze i głębsze potraktowanie tego problemu. Nie chodzi mi oczywiście o szarganie narodowych świętości, ale wręcz przeciwnie — o właściwy wymiar przedstawianych spraw.

Nie sprostaj temu zadaniu autor, nie pomógł sztuce reżyser. Trudno się pogodzić z pastiszową stylizacją proponowaną przez teatr i koncepcją poszczególnych ról, zwłaszcza wielkiej trójki Krasińskich: z pewnością Andrzeja Lapickiego (Wincenty Krasiński), Piotra Bajora (Zygmunt) jak Niny Andrycz (matka generała i babka poety). A jednak sala na „Lokaju” jest pełna, a uwaga widowni napięta. Raz jeszcze okazuje się więc, jak brak współczesnych sztuk poruszających tematy nam bliskie, narodowe, które zawsze mogą liczyć na dobre przyjęcie. Nawet jeśli nie trafiają we właściwy ton i w dużej mierze zawodzą nasze oczekiwania.